

Jest tutaj niedaleko góra. Niewysoka, jakieś dwieście metrów nad poziomem morza. To niewiele, ale nad morzem takie szczyty to już góry. Mój tato mówi, że to wzgórze. Pewnie ma rację, on zawsze ma rację. Bardzo dużo wie i jest bardzo silny. Raz nawet uniósł samochód za hak. Ale zaraz, czasami jednak się myli, kiedy zabroni mi wyjść na dwór, czy coś takiego, wtedy nie ma racji.

Na rowerze można wjechać na szczyt góry bez zatrzymywania. Jak się ścigamy z chłopakami, to się zdyszymy najwyżej, więc faktycznie nie jest wielka ta nasza góra. Ale to najlepsze miejsce do zabawy na świecie.

Zrobiło się ciepło i jutro jesteśmy ustawieni na pierwszą jazdę w tym roku. Zawsze najpierw sprawdzamy nasze trasy. Ciekawe, co się zmieniło, ile drzew się zważyło i co zwierzęta napsuły. Dziki mam na myśli. Te świnie czasami tak trasy poryją, że wyglebić się można.

Ale najpierw zrobię przegląd roweru. Czekam właśnie na tatę, aż wróci z pracy. Weźmie rower na warsztat i nasmaruje łańcuch, napompuje koła na kamień, tak jak lubię, wtedy dopiero mam spida. Kiedyś wszystko rozkręcił, cały rower, potem nasmarował i złożył. To dopiero była jazda.

Zastanawiałem się, dlaczego po zimie zawsze coś trzeba robić przy rowerze, czemu nie można zwyczajnie wsiąść i jechać, przecież tylko leży w piwnicy. Jakby się stary robił, czy coś.

W tym roku może dostanę nowy, taki z dużymi kołami, dla dorosłych. Grosik i Smętek mają już takie. Pączek i ja jeździmy na BMXach, tak na nie mówimy, ale to zwykle górale i już się ich trochę wstydzimy. Pączek może mniej się wstydzi, bo jego starzy nie mają kasy i pewnie długo jeszcze na nim pojeździ. Ale nie narzeka. Za to go lubię, nigdy nie narzeka i nie marudzi.

Jak dostanę nowy rower, dam mu pojeździć. Nie tak jak Grosik. Ten się nigdy nie dzieli, nigdy nic nie kupi, nawet gumą nie poczęstuje, a forsę ma jak lodu. Smętek może i by dał pojeździć, ale Grosik mu imponuje, dlatego zachowuje się przy nim tak samo.

Słyszę, że drzwi się otwierają.

– Tata! – wołam.

Biegnę do przedpokoju.

– Tato, tato!

– Siemasz synku, co tam? Coś taki podekscytowany? – Stawia torbę i zdejmuje buty.

– Zobaczysz mój rower, zobaczysz? Jutro umówiłem się z chłopakami.

Po co zdejmuje buty, możemy od razu zejść do piwnicy.

– Mówi się, 'na jutro umówiłem się z chłopakami'. – Zdejmuje kurtkę. – A jak lekcje?

– Odrobione. Na jutro umówiłem się na jazdę – poprawiam – to co, zobaczysz? Na pewno trzeba napompować koła.

– Poczekaj synku, umyję ręce, zjem obiad. Cześć kochanie.

Mama podchodzi, dają sobie buzi, fuj.

– Cześć. On tak odkąd wrócił ze szkoły. Zobacz mu ten rower, bo ci nie da spokoju. Lekcje odrobił od razu, przewidział, że będziesz pytał. Obiad już gotowy.

– Mmm, czuję.

Tato mnie mija i targa za włosy. Znow muszę czekać. Wiedziałem, że tak będzie.

Już myślałem, że nigdy nie zejdziemy do piwnicy. W końcu tata zrobił przegląd roweru. Nie chciał pompować opon na kamień, nigdy nie chce, mówi że tak mogą się łatwo przebić. Ale i tak zawsze napompuje, a ja jeszcze nigdy nie przebiłem opony.

Dzwoniłem do chłopaków, że jutro od razu po szkole jedziemy. Tylko Pączkowi się nie pochwaliłem, bo nie ma komóry.

Teraz wyglądam przez okno. Mieszkamy u stóp góry i ze swojego pokoju widzę wejście do lasu. Już jest ciemno i za nic bym tam nie wszedł. Góra jest trochę straszna po zmroku, szczególnie szczyt. Mieszka tam taki stary dziad w drewnianym domu. Cykamy się go strasznie. Podobno dawno temu mordował ludzi, którzy się tam zapuszczali jak jeszcze była tu wieś. Jest taki chudy i wysoki, a z twarzy podobny do Baby Jagi. Pączek mówi, że to na pewno taka chłopska wersja Baby Jagi. Wszystko się zgadza, chatka i baba, to znaczy chłop. Raz pogonił nas jego pies. Taki mały, czarny na krótkich nóżkach, wścieklizna straszna. Ledwo uciekliśmy przed tym diabłem tasmańskim.

Niedaleko domu dziada jest stary cmentarz. Taki nieduży, kilka grobów. Pewnie zako-

pywał tam trupy. Nigdy w życiu nie chciałbym tam zostać sam, a już na pewno nie po ciemku.

– Czemu zawsze musimy czekać na tego grubasa. A potem jeszcze nie może nadążyć – mówi Grosik.

– Właśnie. Może powinniśmy go wywalić z naszej bandy.

– Może ciebie wywalimy Smętek? Za smętne oczy – mówię.

– Dobra, weź. – Zamknął się.

Smętek ma taką oprawę oczu, jakby mu opadały.

– Co ty go tak zawsze bronisz? – pyta Grosik.

– Bo jest w porządku.

Nie powiem, że jest bardziej w porządku, niż oni. Nie chcę wyjść na jakiegoś pedała, czy coś.

Swoją drogą Pączek mógłby już tu być.

– Jedzie, w końcu – mówi Smętek.

Pączek podejżdza. Minę ma nietęgą, coś się stało.

– Cześć chłopaki.

– Ty nigdy nie możesz być na czas? – pyta Grosik i wsiada na rower.

Smętek pędzi zaraz za nim. My jak zwykle w tyle.

– Co się stało? – pytam.

– Nic.

Pewnie znowu dostał od ojca.

Doganiamy chłopaków. Wieje dzisiaj. Suchych badyli trochę leży i powalonych drzew, ale na trasach czysto. Dziki się kręciły, porały ryjami przy ścieżkach. Wszystko wydaje się jeszcze mokre. Już się zazielenia, nieśmiało na razie, ale jak przyjdzie kilka cieplejszych dni, zieleń wybuchnie. Ptaki za to już pitolą głośno. Ciekawe, o czym.

Robi się stromo. Pedalujemy na stojąco. Mam ochotę przycisnąć, ale Pączek został w tyle. Nie może stanąć na pedałach, jest za gruby i łańcuch mu skrzypi. Rower ma zakurzony, nie zrobił przeglądu, dobrze że podpompował opony.

– Dawaj Pączek! – wołam.

Nie mogę jechać tak jak on, co to za przyjemność. Nie mogę go też zostawić, jak te dwa głupki z przodu. Mogę się tylko wkurzać.

– Dawaj!

To pierwsza jazda, a ja już się wkurzam.

– Czekaście! – wołam do przodu.

Czasami mam ochotę olać ich wszystkich i jechać sobie sam, tak szybko jak chcę i gdzie chcę.

Grosik jest szefem bandy, bo ma najlepszy rower, ale nie powinien nim być. Jak zaczęli nas starsze chłopaki, to schował się za Pączka i pierwszy uciekał. Też mi dowódca.

Chłopaki z przodu zatrzymują się i czekają na nas, gadają o czymś. Przystają, kiedy podjeżdżamy.

Mam czasami wrażenie, że nasza banda składa się z dwóch części.

– W to lato musisz mieć kondycję, Pączek – mówi Grosik. – Znowu to samo, zawsze musimy na ciebie czekać. Musimy coś z tym zrobić.

Wsiada i rusza dalej. Przydupas za nim.

– Co za szef – mówię. – Nie przejmuj się. Może faktycznie trzeba coś z tym zrobić. Zaczniemy jeździć sami.

– Mówisz poważnie?

W jego głosie zabrzmiała nadzieja. A ja tak tylko powiedziałem. No, ale teraz się nie wycofam.

– Czemu nie? Po co za nimi gonić?

W Pączka jakby wstąpił nowy duch. Wskoczył na swój złom i wyrwał przede mnie.

Wszyscy straciliśmy trochę kondycję przez zimę. Pierwszy na szczyt dociera Grosik, za nim Smętek. Ja też już bym był, gdyby nie Pączek. Musiał zsiąść z roweru. Wolę na niego poczekać, inaczej chłopaki zaraz na niego wsiądą. A on dzisiaj chyba potrzebuje, żeby być dla niego miłym.

Na górze wieje bardziej. Nadciągnęły ciemne chmury i zrobiło się ponuro. Czaimy się na zakręcie, obserwujemy dom. Z komina leci dym, znaczy się, że dziad żyje. Oprócz wiatru i szumu drzew nic nie słysząc. Dobrze, że wieje od chaty, inaczej pies już by nas wyczuł. Kiedyś wiedział z daleka, że tu jesteśmy, a my nie mogliśmy skumać skąd.

Patrzę na twarze chłopaków, widać po nich, jaki kto jest. Wielki szef wygląda, jakby już chciał stąd spadać. Smętek ma zawsze taką samą minę, czy się cieszy, czy złości, wygląda jakby zaraz miał się rozplakać. Pączek jest spokojny, mruży oczy, jak rewolwerowiec w czasie pojedynku.

Nie wiem, jak ja wyglądam. Nie cykam się aż tak bardzo, ale jestem gotowy w każdej chwili dać dyla. Ciekawe, czy to widać.

– Kto podejdzie zajrzeć przez okno? – pyta Grosik.

– Ja – mówi Pączek bez wahania.

Kładzie rower. Nie rozumie, że nie zdobędzie uznania chłopaków. Lubią się nim wysługiwać i tyle.

– Stój. Czego się zawsze rwiesz? Może raz pójdzie ktoś inny albo zrobimy losowanie, co?

Grosikowi nie pasuje moja propozycja.

– Ja jestem szefem i jak Pączek chce iść, to niech idzie. Chyba, że ty chcesz iść.

– Jak jesteś szefem, to sam idź. Pokaż jaja – mówię.

Jest niezadowolony, myślał, że zawsze będzie tak jak, on powie.

– Ja mam jaja. A ty?

– No właśnie – dodaje Smętek.

– A ty czego się odzywasz? Tobie urwało jaja przy porodzie.

Pączek się śmieje, a Smętek zamyka.

– No, to pokaż, że masz jaja – mówi Grosik.

– Ja pierwszy powiedziałem, żebyś pokazał. Wyzywam cię na pojedynek. Jak wygram, zostaję szefem bandy. – Całą zimę o tym myślałem.

Grosik jest wściekły. I dobrze.

– Jaki pojedynek? – pyta.

– Wyścig, a jaki?

– Dobra, ścigamy się, kto będzie miał lepszy czas na dole – mówi.

– Trasą obok domu dziada. – pokazuję paluchem na chatę.

Specjalnie to powiedziałem, niech pokaże te swoje jajeczka. Tą trasą jeździmy najrzadziej, jest kręta i stroma, pełno tam wystających korzeni i głazów. I można na niej spotkać dziada.

Widać, że szefowi to nie pasuje, ale chłopaki czekają, co powie.

– Mam najlepszy rower i duże koła, nie masz szans – mówi.

– To się okaże.

– Wiadomo przecież.

– Nic nie wiadomo, sprawdzimy.

Nie wie, jak się wykręcić.

– Dobra – mówi w końcu.

– No i dobra.

Pies zaczął szczekać, usłyszał nas. Kucnęliśmy odruchowo.

– I co teraz? – pyta Smętek.

– Zobaczymy, czy go wypuści. Szykować się – mówię.

Pies ujada w domu. Jest taki głośny, że słyhać aż tutaj. Jakby miał dostać zawału z tej wścieklizny. Dziad zaraz pewnie go wypuści, żeby za nami poleciał.

Już siedzimy na rowerach, pedały przygotowane.

– Przekładamy pojedynk – mówię nie spuszczać chałupy z oczu.

– Zjeżdżamy tędy – mówi Grosik.

– Nie. Przekładamy.

– Zróbmy losowanie – mówi Smętek.

– Nie ma mowy. Albo tamta trasa albo my z Pączkiem wypisujemy się z bandy. Prawda Marcin? – mówię na pewniaka.

– Tak, wypisujemy się – potwierdza.

Grosik milknie, jest wściekły. W sumie to i tak nie mam już ochoty być w tej bandzie. Chyba, że będę szefem, wtedy wszystko będzie inaczej.

– Coś długo nic się nie dzieje – mówi Pączek.

Pies ujada jeszcze chwilę i przestaje. Patrzymy po sobie zdziwieni. Tak jeszcze nigdy nie było.

– Może miał zawał? – mówi Smętek.

– Srawał. Pies nie może mieć zawału – mówię.

– Skąd wiesz?

– Słyszałeś kiedyś, żeby pies miał zawał? Może też raka, co? Psy nie mają takich chorób. Mają pchły, robaki, sraczki albo rzygają. I zdychają ze starości.

Jestem prawie pewien.

– Pies mojej ciotki miał raka – mówi Grosik.

Kiwam głową, żeby się puknął w głowę, a Grosik mówi.

– A ten gdzie?

Pączek jedzie powoli w stronę chaty.

– Co ty robisz? – wołam szeptem.

Nie reaguje. Wjeżdża już na trawę przed chatką, zsiada, kładzie rower i podchodzi do okna. Pies znowu zaczyna ujadać. Pączek się płoszy, podbiega do roweru, podnosi, ale się wstrzymuje, obserwuje drzwi.

– Gruby kretyń, i tak nie zdąży zwiać – szydzi Grosik.

– Zamknij się – warczę i ruszam powoli w stronę domu.

Nie wiem, co zrobię, jak drzwi się otworzą i pies wyskoczy. Pączek na pewno nie zdąży uciec. Co wtedy?

Ale drzwi się nie otwierają, mimo że pies nie przestaje ujadać, aż dostaje chrypy. Może też już jest stary?

– Coś jest nie tak – mówi Pączek, kiedy jestem obok.

– Co?

Nie odpowiada. Znowu kładzie rower i skrada się do okna. Jakoś wątpię, czy to dobry pomysł. Ale w końcu też tak robię.

Przykładamy dłonie do szyby, żeby lepiej widzieć. W środku jest ciemno, kiepsko widać. Jest brązowy regał i stół pod oknem z odsuniętym krzesłem, a na stole kubek z czymś gorącym, jeszcze paruje.

– Jest w domu – mówię.

Widać psa, jak skacze na środku pokoju i drze ryja, widzi nas. Podbiega do drzwi, szczeka chwilę i wraca do pokoju, i tak w kółko.

– Widzisz dziada? – pytam.

– Nie.

Wyobrażam sobie, jak wypada na dwór i porywa nas do środka. A co tam z nami robi, już wolę sobie nie wyobrażać. Na pewno skończyłoby się, o tam, na cmentarzu.

Patrę w kierunku zagajnika, przez który idzie się na cmentarz, a Pączek idzie za róg do drugiego okna. Idę za nim.

Przykładamy dłonie do szyby. To chyba kuchnia, wbiega do niej pies i dalej mordę na nas piłuje.

Widać żółty kredens i stół, na nim ceratę.

– Tam! Leży! – woła Pączek.

Odrywa się od okna i biegnie do drzwi.

– Co?

Próbuję dojrzeć i też widzę nogi dziada. Leży na podłodze, stół zasłania go prawie całego.

Biegnę za Pączkiem. Stoi przed drzwiami i trzyma za klamkę, boi się psa.

– Co robimy? – pytam.

– Wchodzimy!

– Czeka.

Wyciągam z kieszeni komórkę, żeby zadzwonić do taty, ale Pączek otwiera drzwi. Gęba jakby mi skapciała ze strachu.

Czarny pocisk wyskakuje na zewnątrz z głośnym warknięciem. Pączek stoi nieruchomo. Byłem pewien, że ten diabeł zacznie go szarpać za spodnie albo skoczy mu do jajec, ale obwąchał go tylko, zaskamlał i wbiegł do środka, a Marcin za nim.

– O, kurde – mówię.

Odwracam się i patrzę na chłopaków. Stoją gdzie stali i się gapią. Mordy mają jakoś dziwnie żółte i gęby otwarte.

Idę za Pączkiem. W środku jest półmrok i pachnie starością. Podłoga trzeszczy. Wygląda, że wszystko tu jest z drewna.

– Proszę pana, proszę pana. – Pączek klęczy i klepie dziada po pomarszczonej twarzy.

Dziad leży jak długi w kuchni. Na podłodze rozsypane są jakieś białe tabletki.

– Żyje, oddycha. – Widzę, jak klatka się unosi.

Ale nie reaguje na klepanie. Pies stoi obok i popiskuje, patrzy, to na swojego pana to na

Pączka, jakby błagał o pomoc.

– Dzwonź po karetkę! – woła Marcin.

– Tak, tak. – Wyciągam telefon z kieszeni, ale nie znam numeru, wiem tylko, że 997 to na policję – Jaki jest numer po karetkę?

– Sto dwanaście.

No tak. Dzwonię.

Ale się potem działo. Karetka ledwo tu wjechała. Dobrze, że nie było drzew na drodze, wtedy nie wiem, co by było. I tak ciężko wytłumaczyć, jak tu dojechać.

Karetka była super. Wskoczyło z niej dwóch facetów w czerwonych strojach, mieli taki duży plecak, też wyglądali super. Pączek pokazał, gdzie leży dziad. Chwilę coś przy nim robili i zabrali go na noszach. Powiedzieli, że bardzo dobrze zrobiliśmy, że zadzwoniliśmy. Duma mnie napełniła, jak powietrze balon.

Grosik i Smętek pojechali za karetką. Pączek trzyma skamlącego psa na rękach. Chciał biec za panem, ale przytrzymał go, coś mu powiedział do ucha i przestał się wyrywać.

Do tej pory uważałem Pączka za powolnego ciamajdę. Żal mi go było. A teraz czuję się przy nim trochę, jak przy moim tacie, chociaż jesteśmy w tym samym wieku.

– Myślisz, że przeżyje? – pytam.

– Nie wiem.

Wciąż głaszcze psa, który patrzy w kierunku drogi, gdzie zniknęła karetka. Gładka, czarna jak smoła sierść opalizuje w świetle dziennym. Uszy stoją, jak u Batmana, ryjek ma szpiczasty. Jest taki brzydki, że aż ładny.

– Co z nim? – pytam.

– Z nią. To suczka.

– Co z nią?

– Nie wiem. Nie możemy jej tu zostawić. A jak jej pan nie wróci?

– To ją zabierz.

Pączek posmutniał, a pies polizał go po policzku.

– Nie mogę.

– Dlaczego, lubi cię.

– Mój ojciec się nie zgodzi. W ogóle, czeka mnie manto, jak wrócę. Zabronił mi dzisiaj wyjść, uciekłem, żeby z wami pojechać. Jak jeszcze wrócę z psem, dostanę bardziej, a ją wykopie za drzwi.

Zamyśliłem się. Jak dobrze, że mój tata nie jest taki.

– No to ja ją wezmę. Rodzice skumają, jak im opowiem. A co z domem dziada? Nie zostawimy przecież tak otwartego, coś musimy zrobić. Myślisz, że on ma jakąś rodzinę?

– Poszukajmy kluczy i jakiegoś kontaktu do kogoś.

Nie znaleźliśmy niczego, żadnego numeru telefonu do rodziny, czy czegoś takiego. Znaleźliśmy tylko klucz w drzwiach.

Schodzimy na dół. Pączek niesie psa, a ja prowadzę rowery. Kupa pytań przychodzi nam do głowy. Co z dziadem? Jeśli nie umrze, to jak wejdzie do domu? Skąd będzie wiedział, że my mamy klucz i psa?

Wymyśliłem, że najlepiej wsadzić kartkę w drzwi i sprawdzać codziennie, czy wrócił. Pączek też uważa, że to dobry pomysł.

Tato powiedział, że można zostawić kartkę w drzwiach, ale lepiej zadzwonić do szpitala i dowiedzieć się, co z tym panem. Zajmie się tym z samego rana.

Jest ze mnie dumny, bardziej niż powinien. Skłamałem, że to ja pierwszy zobaczyłem, że leży i wszedłem do domu. Nie mogłem przez to zasnąć. Myślałem o Pączku, który nie mógł się pochwalić tym, co zrobiliśmy i jeszcze dostał baty. Mimo, że o tym nie wiedział, odebrałem mu coś, co należało do niego.

Zszedłem w nocy do rodziców. Jeszcze nie spali, całowali się przed telewizorem, bleech, ohyda. Powiedziałem im prawdę. Od razu poczułem się lżejszy i radośniejszy. I dostałem za to pochwałę. Aż miałem ochotę uścisnąć suczkę dziada, ale ona położyła uszy, skuliła się bardziej w kącie i zaczęła warczeć. Nie wiedziała, co się dzieje i strasznie tęskniła. Nie chciała nic jeść. Napiła się tylko wody.

Na drugi dzień nie poszedłem do szkoły. Nie wiem, czy poszedł Pączek. Grosika i Smętka miałem gdzieś, ale pisali później, pytali, co się dzieje. Nic im nie powiedziałem, cykorom jednym.

Tato znalazł dziada w szpitalu miejskim. Powiedzieli, że miał zawał, chorował na serce. Rozsypane na podłodze w kuchni tabletki to musiało być lekarstwo. Najwyraźniej nie zdążył zażyć.

Dziad wychodzi dzisiaj po południu, odbieramy go z tatą. Mimo, że już się nie boję, jakoś nie mogę przestać myśleć o tym, czy faktycznie kiedyś mordował ludzi.

Okazał się zwykłym starszym panem. Był słaby, ale szedł normalnie. A jak się ucieszyła jego psina. W życiu nie widziałem takiej radości. Wylizała mu całą twarz i prawie się posikała. Kika się nazywa, nawet ładnie. Ja bym ją nazwał Foka, bo taka z niej kluska na krótkich łapkach.

Szkoda, że Pączek tego nie widział. To przecież dzięki niemu skończyło się taką radością. Byłem u niego, ale jego ojciec wydarł się tylko z progu.

– Nigdzie nie wyjdzie! Nie przyłaż mi tu!

Straszny jest. To dopiero groźny dziad.

– No i gdzie ten grubas? Ostatni raz na niego czekamy – mówi Grosik.

Wściekłość mnie bierze.

– Zamknij się Grosik! To nie czekaj! I tak nie jesteś już szefem bandy.

– Jak to nie jestem!?

– No właśnie, jak to?

– A ty co Smętek, echo? – pytam.

– Na pewno ty nie jesteś szefem, nie było wyścigu – mówi Grosik.

– Nie byłbym nawet gdybym wygrał. Od teraz Pączek jest szefem.

Chłopaki robią tylko zdziwione miny. Gdybym powiedział to kilka dni temu, parsknęliby śmiechem, ale teraz udają, że nie wiedzą o co chodzi.

– Ale jak to Pączek? On jest gruby i biedak – mówi Smętek prawie szeptem.

– A ty jesteś głupi i brzydki, i co z tego? Pączek zasłużył. I to jak zasłużył. Wy nawet tego nie rozumiecie, gamonie. Możecie sobie mieć super rowery i komóry, ale nigdy nie będziecie mieli takiej odwagi. Poproście rodziców, może wam kupią.

Głupio im strasznie, nic już nie mówią. Jedzie Marcin.

– Cześć chłopaki – mówi.

Nikt mu nie odpowiada. Grosik pierwszy odstawia rower i podchodzi do niego, wyciąga rękę.

– Cześć. Witamy nowego szefa.

To mnie zaskoczył. Smętek oczywiście robi jak Grosik.

– Witamy – mówi.

Marcin nie wie, o co chodzi, od razu poliki mu się czerwienią. Patrzy na nas, jakby właśnie zdołał się w majty i sprawdzał, czy widzimy.

Teraz ja.

– Witamy najlepszego szefa – mówię.

Nie podaję mu graby, ściskam go jak trzeba i klepię po plecach. Trafiłem na coś ręką, bo syknął z bólu. Starał się to ukryć, ale nie dał rady przede mną. Nic nie mówię, domyślam się co to i nie zdradzę go, ale potwornie smutno mi się zrobiło.

– Wy poważnie chłopaki? To nie jakieś jaja? – pyta Pączek.

– Nie stary, jesteś szefem, takim najprawdziwszym. Bo jesteś najodważniejszy. – Głos mi drży.

– Ja najodważniejszy?

Pyta, bo naprawdę nie zdaje sobie z tego sprawy.

– To gdzie jedziemy? – Grosik się niecierpliwi.

I dobrze, że z tym wyskoczył, bo klucha mi rośnie w gardle. A Pączek się uśmiecha.

– Jak to gdzie, na górę – mówi.

Cieszę się na te słowa. Nie widział się jeszcze z dziadem, to znaczy z panem Januszem. Opowiedziałem mu tylko, co się działo.

Wskakuję na rower i ruszam, czekam, aż mnie wyprzedzi i poprowadzi bandę swoim tempem. Grosik i Smętek ciągną się za nami, jak smród za szambowozem. Myślę, że banda i tak się rozpadnie na pół, ale nie będę płakał z tego powodu, Pączek pewnie też.

Słońce w końcu wylazło jak trzeba i jest pięknie. Od jutra ma być bardzo ciepło i wszystko zacznie kwitnąć. Ptaki dyskutują głośniej niż ostatnio, pewnie o pogodzie.

Pniemy się powoli w górę. Wcale nie przeszkadza mi dziś takie tempo. Grosikowi i Smętkowi chyba tak, bo zostają w tyle.

Szef zatrzymuje się dwa razy, żeby na nich poczekać i odpocząć. W końcu nikt nie marudzi, że się zmęczył. On decyduje. Najfajniejsze, że przystanki ani trochę nie są nudne. Pączek nie staje, dopóki nie zauważy czegoś ciekawego. Nie wiedziałem, że ma takie bystre oko. Wcześniej musiał się skupiać, żeby nas gonić.

Pierwsza była sarna, a teraz oglądamy jaszczurkę. Wygrzewa się w słońcu na pniaku. Obserwuje nas bacznie, ale nie ucieka. Ma brązowy pasek z wzorkiem na grzbiecie, od głowy po ogon, a po bokach jest zielona.

W końcu widzimy, jak pięknie jest na naszej górze. Ile życia i ciekawych rzeczy nam uciekało przez ten bezsensowny pośpiech.

Chłopaki robią zdjęcia.

– Ale ładna – mówi Smętek.

– Nie stresujmy jej – mówi Pączek.

Wycofuje się powoli, my za nim. Jedziemy dalej. Szczyt niedaleko.

Na górze zatrzymujemy się w tym samym miejscu co zawsze, kiedy obserwowaliśmy chatę dziada.

– Jedziemy – mówię.

– Po co? – pyta Grosik.

Nie odpowiadam. Pączek też jakby się wstydził, ale wsiada na rower i podjeżdża ze mną pod dom. Tamci zostają.

– Kika nie szczeka? – mówię.

– Może ich nie ma.

Zsiadam z roweru i pukam do drzwi. Cisza.

– No nic, spróbujemy innym razem – mówi Pączek. Naprawdę się wstydzi.

Słyszemy szczekanie. Kika wyskakuje z zagajnika, który prowadzi na cmentarz i leci do Grosika i Smętka. Piszczą przerażeni, próbują wskoczyć na rowery i uciec.

– Kika!

Pan Janusz wychodzi z zagajnika z wiadrem w ręce. Pies natychmiast przerywa atak, a chłopaki wskakują na rowery i dają dyla.

Kika biegnie do nas, merda ogonkiem jak antenką, cieszy się niesamowicie, nie wie, komu poświęcić uwagę, mnie czy Pączkowi. Głaszczemy ją obaj.

Pan Janusz się zbliża, z wiadra wystają: haczka do pielienia, motyka i małe grabki. Jest tam jeszcze butelka z wodą.

– Dzień dobry – mówimy.

– Serwus chłopaki.

Wita się ze mną, jego skóra na kościstej dłoni jest szorstka od ziemi.

– To jest Marcin? – pyta.

– Tak, to on pana uratował. Wszystko dzięki niemu.

Okrągła buzia Pączka robi się wiśniowa.

– Nie, ja nic takiego, tylko pana zauważyłem. To Krzysiek zadzwonił po karetkę.

– Krzysiu mówił, że zrobiłeś dużo więcej. Gdyby nie ty, już by mnie nie było. – Podaje mu rękę. – Dziękuję ci Marcin, od teraz jestem twoim dłużnikiem.

Pączek jest zawstydzony.

– Nie, nie trzeba – mówi.

– Wpadajcie do mnie, kiedy tylko chcecie. Zawsze dam wam coś do picia. Jak będziecie czegoś potrzebować, możecie się do mnie zwrócić.

Pomyślałem o tym mordowaniu ludzi, czy nie zrobiłby porządku z ojcem Marcina.

– Poczekaście, mam świeży kompot. – Idzie do domu. – A ty polataj jeszcze mordko – mówi do psa.

Kika posłusznie daje susa w świeżą trawę.

Patrzę na Pączka. Jest czerwony, jak dupa pawiana. To dla niego zupełnie nowe uczucie, być docenionym. Jest mi jeszcze smutniej, niż po dotknięciu jego pleców. Chciałbym coś powiedzieć, że też go bardzo cenię, że bardzo chciałbym mu jakoś pomóc, ale słowa grzęzną w gardle.

I wpadam na pomysł, że powiem o tym tacie, może on coś poradzi.

– Proszę chłopaki.

Pan Janusz wyszedł z domu z dwiema szklankami różowego kompotu.

– Dziękujemy – mówię.

– Wieloowocowy, z mrożonych. Jeszcze nie ma świeżych.

Pijemy ze smakiem, a z krzaków wyskakuje Kika. Biega między naszymi nogami, widać bardzo lubi towarzystwo.

– Co ty tam masz? – Pan Janusz kuca i zaczyna się śmiać. – Patrzcie, trawa jej z gęby wisi!

Faktycznie, długie źdźbło zwisa z pyszczka, jak ogon uwięzionego gryzonia.

– Daj to pyszczydło – mówi.

Zabiera źdźbło z mordki. Śmiać mi się chce, jak ich wcześniej postrzegaliśmy.

Dopijamy kompot.

– Panie Januszu, mogę o coś zapytać? – pytam.

– Wal.

– Pan był na cmentarzu, tam w zagajniku?

Dziad uśmiechnął się pod nosem.

– Ciekawi mnie, co też sobie wymyśliliście o tamtym miejscu.

Teraz ja się czerwienie.

– A, tam, różne rzeczy. Trochę straszny ten cmentarz – mówię.

– Robię czasami porządki na grobach. Jakoś żal, że ślad po tych ludziach znika. Kiedyś grzebali tam zmarłych na cholere. Leży tam też rodzina, do której należała kiedyś góra.

– To nie zamordował pan nikogo i nie zakopał tam? – pyta Marcin.

Robię wielkie oczy. Nie no, zwariował ten Pączek. Pan Janusz zaczyna się śmiać, jakby wiedział, że chodziło nam to po głowie.

– Nie, jeszcze nie, ale sam chciałbym zostać tam pochowany. Dużo ciekawych rzeczy mogę wam opowiedzieć o tej górze. Następnym razem pokażę wam inny mały cmentarz, gdzie leżą moje zwierzaki. Wszystkie, które miałem przed Kiką.

Nigdy nie trafiliśmy na takie miejsce.

– Bardzo chętnie. Dziękujemy panie Januszu, będziemy już jechać – mówię.

– Pewnie, wpadajcie kiedy chcecie. Marcin, podejdź na słowo.

Pączek zbliża się do dziada. Nie słyszę, o czym mówią.

Zjeżdżamy na dół i w końcu nie wytrzymuję.

– Co ci powiedział?

Wiem, że to nie moja sprawa, ale Pączek jedzie w milczeniu i wygląda, jakby był zły.

– Zapytał, czy ojciec mnie bije.

– No co ty? A skąd on może wiedzieć?

– No właśnie ty mi powiedz, skąd?

– Myślisz, że mu powiedziałem?

– Nikt z nim oprócz ciebie wcześniej nie rozmawiał. I ty przecież wiesz, że mnie ojciec bije.

– Nic mu nie powiedziałem, słowo. Po co miałbym mówić?

Pączek nie odpowiada. Znowu jedziemy w milczeniu.

– Dostałeś dzisiaj znowu? – pytam w końcu.

– Kablem. Jak jest pijany, bije mnie kablem.

O nic więcej nie pytam. Rozstajemy się na dole. Pączek jedzie do domu, a ja porozmawiać z tatą. Może coś poradzi.

Marcin przeprosił mnie potem. Powiedział, że dziad zwyczajnie dostrzegł w jego oczach, że dzieje się coś złego.

Prawie codziennie odwiedzaliśmy pana Janusza i w końcu Pączek więcej czasu spędzał u niego, niż na jeździe z bandą, która szybko się rozpadła, ale nikt tego nie żałował.

Marcin i pan Janusz zostali prawdziwymi przyjaciółmi. A później byli jak wnuk i dziadek.

Po latach, kiedy go spotkałem powiedział, że dom pana Janusza i ziemia na szczycie należą teraz do niego. Nielegalnie pochował prochy starca na cmentarzu na górze, po tym, jak nie mógł załatwić pozwolenia. Żałuję, że nie mogłem być na pogrzebie.

Poszliśmy razem na jego grób, a potem na grób Kiki. Chowaliśmy ją razem na małym cmentarzu niedaleko chaty. Nie widać go z żadnej trasy, nic dziwnego, że nie mieliśmy pojęcia o tym miejscu. Zorganizowaliśmy staruszce dobry pogrzeb. Na kamieniu wykułem razem z tatą imię Kika i zdanie – Trawa jej z gęby wisi. – Bardzo nam się to spodobało, nawet panu Januszowi. Napis przypominał nam początek naszej znajomości i oddawał świetnie charakter tego diabła tasmańskiego.

To był ostatni pies dziada.

Wydaje mi się, że tata rzeczywiście zadziałał wtedy w sprawie Pączka. Kiwał głową, kiedy mu o wszystkim opowiadałem i zaciskał pięść, jak przy pobieraniu krwi, ale nic nie powiedział.

Nigdy nie pytałem, ale wydaje mi się, że Pączek więcej już nie dostał. Wtedy byłem za mały, żeby to zrozumieć, ale pamiętam, że któregoś wieczoru, niedługo po mojej rozmowie z tatą, przyjechali do niego jacyś panowie. Nigdy ich wcześniej nie widziałem. Mama powiedziała, że to starzy koledzy taty. Nie była zadowolona, że z nimi wychodzi, ale nic nie mówiła i go nie zatrzymywała. Też jej było żal Pączka.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

BrunoKadyna, dodano 20.03.2018 19:55

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.